Świat powieściowy.

Nr. 118 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Złamany a nieugięty.

POWIEŚĆ

przez Marję Grochowalską

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Na niedalekiem przedmieściu stolicy Galicji, w wąskiej, nie zbyt schludnej i ciasnej wówczas ulicy tak zwanej Żółkiewskiej, w domku miłej powierzchowności, stojącym wśród ogródka, światło dopalającej się lampki walczyło z pierwszemi blaskami dziennemi. Idąc za tem światełkiem, pozwólmy sobie zajrzeć do wnętrza tego schludnego domku i zapoznać się z jego mieszkańcami. Godzina była tak ranna, że oprócz gwarliwych przekupek i mleczarek, spieszących na targ, nikogo jeszcze widać nie było. Pogodne niebo zdawało się zapowiadać piękny dzień drugiej połowy maja, a blady księżyc wraz z rzeszą gwiazd szybko umykał przed różowym blaskiem, zwiastunem wschodzącego słońca.

Domek świecił czterema oknami frontowemi, z których dwa, znajdujące się po prawej stronie, były teraz starannie zasłonięte storami w ponsowe i zielone pasy, i przez które, gdy były otwarte, zapewne miła woń róż, jaśminu i rezedy wchodziła do pokoju. Nie ośmielimy się być tak ciekawymi i wdzierać po za osłony, broniące oczom naszym przystępu, zwłaszcza, że możemy bez ściągnięcia na siebie grzechu, zaglądnąć w niczem nie zasłonięte dwa okna po lewej stronie, i choć w części zaspokoić ciekawość.

Pokoik, który przedstawił się naszym oczom, był maleńki, czysto wybielony i posiadający sprzęty, najniezbędniej tylko potrzebne. Łóżko proste, drewniane, zakryte grubym w ciemne pasy kocykiem i zasłane jedynie małą poduszeczką, nie nosiło na sobie najmniejszego znaku, by ktoś na niem spoczywał; — było jak dopiero posłane. W kącie stały szaragi, które miały cel zastąpienia szafy na suknie, co byłoby jednak zupełnie zbyteczne, gdyż i te stały zupełnie próżne, nagiemi hakami świecąc w brzasku porannym. Dalej, na drewnianem krześle, stała miska z wodą i dzbanuszek prosty, gliniany, kawałek czarnego mydła i ręcznik gruby, zwieszający się w fałdach ku ziemi.

Pod oknem, przy stoliku zarzuconym książkami i papierami różnemi, siedział młody mężczyzna. Twarzy jego dojrzeć nie można było, gdyż złożywszy głowę na ręce, usnął na rozłożonym zeszycie, na którym zaledwie zaschły atrament każe przypuszczać, że młodzieniec ten usnął wśród nauki, pracą znużony. Mała lampa, dopalając się wśród dnia białego, napełniła pokoik niemiłym swędem.

Mieszkanko to świadczyło wyraźnie o ciężkiem życiu wśród ubóstwa i pracy naukowej. W tej właśnie chwili zajrzało doń słoneczko złotym promieniem, jakby chcąc pokrzepić nadzieją lepszej przyszłości tego, który może upadał już na siłach fizycznych i moralnych, wśród niedostatku.

Gdy złoty promień słońca musnął schyloną głowę śpiącego, ten podniósł ją raptownie i przetarłszy oczy, wyciągnął ręce jak do zapasów z losem, a potem zdmuchnął lampę, i porwawszy się szybkim ruchem z krzesła, rzekł sam do siebie niezadowolony:

— Otóż parę godzin straconych przez moje lenistwo! Ale tak mię sen zmorzył... — i zanurzywszy ręce w miskę pełną wody, starał się z jej pomocą otrzeźwić ze snu zupełnie.

Teraz więc i my możemy mu się przypatrzyć i bliżej poznajomić.

Arnold Kohlmann liczył lat dwadzieścia i kończył właśnie ósmą klasę gimnazjalną, przygotowując się do egzaminu dojrzałości. Pomimo lat tak mło-

dych, lica jego były zwiędłe, a uśmiech igrający koło ust bladych, zdawał się źle tylko maskować smutek i troskę, które w sprzeczności z wiekiem, dwoma bruzdami przecięły wysokie jego czoło. Bujne, ciemne włosy i duże, ciemniejsze od nich oczy, z wyrazem rozumnym, stanowiły dziwną sprzeczność z bladością twarzy i ust kształtnych, nad któremi mszyć się zaczynał jaśniejszy wąsik. Wzrostu był słusznego i zapewne byłby także nader zgrabny, gdyby ubiór staranniejszy figurę lepiej uwydatniał i swobody poruszeń nie krępował; suknie zaś, które miał na sobie, widocznie były za krótkie i za wązkie, a skutkiem długiego noszenia, zmieniły nawet swoją barwę.

Arnold Kohlmann był od dawna sierotą. Nie posiadał ni ojca ni matki; był sam jeden na świecie. Ojca nie znał wcale, matkę przypominał sobie jak przez sen. Miał lat pięć, sześć może, gdy umarła. Była ona bardzo biedną i zarabiała na życie szyjąc lub haczkując w małej mieścinie niedaleko Lwowa. Chorowała kilka dni zaledwie. On bawił się spokojnie wraz z rówieśnikami piaskiem i błotem na ulicy, gdy kobieta, u której wraz z nim mieszkała jego matka, zawołała go i rzekła z gniewem w głosie a łzami w oczach:

— Ty się wałęsasz z lampartami po ulicy, a matka skonać nie może!

I wzięła go za rękę, i zaprowadziła do izby ciemnej prawie, gdzie na słomie przykrytej zaledwie jakąś starą chustką, leżała matka jego tak blada, tak blada, jak nigdy przedtem nikogo nie widział... Ręka jej jedna zwisała nieruchomo, druga wplotła się w śliczne, ciemne włosy, które nieczesane od dni kilku, wiły się ciemnemi promieniami po nędznej pościeli, i nawet w tej chwili pełnej grozy, mimowolnie na sobie zatrzymywały spojrzenia obecnych.

Zobaczywszy swe dziecię, chciała je przygarnąć do siebie, ale siły odmówiły posłuszeństwa, i tylko kilka łez potoczyło się po wybladłych licach, a usta wyszeptały jakieś słowa, których jednak nikt dosłyszeć nie mógł.

Kobieta dziecię strwożone i ociągające się przemocą podprowadziła do miejsca, gdzie chora leżała, kazała mu uklęknąć, i własną ręką kostniejącą już rękę umierającej matki położyła na głowie syna, który szeroko rozwartemi oczyma przypatrywał się rozgrywanemu dramatowi, nie rozumiejąc go prawie.

Chora siliła się nadaremnie o wyszeptanie choć słów kilku. Po chwili udało jej się wykształcić jedyne słowo:

— U księdza... — i mimo nadludzkich wysileń nic więcej dodać nie zdołała.

Wkrótce oddech jej zaczął coraz bardziej słabnąć, oczy przymykać, a ręka bezwładna ciężyć na głowie syna. Nareszcie drgnęła parę razy, dziecko zerwało się i rzuciło na nią, krzycząc wśród płaczu:

— Ich werde schon artig sein!

Tyle pamiętał z swoich najmłodszych lat dziecinnych. Nawet pogrzebu nie mógł sobie dobrze przypomnieć. Coś, coś mu w myśli majaczyło, ale niewyraźnie.

Później było mu bardzo dobrze u księdza, u którego się chował. Z początku bawił się tylko, później zaczął się uczyć, i nauka stała się dla niego najmilszą zabawką, którą zamęczał zacnego plebana.

Miał lat dziesięć, gdy opiekun kazawszy go oporządzić należycie, zawiózł do Lwowa, i ze łzami w oczach rozstawszy się z nim, polecił jakiejś znajomej pani, która oprócz niego dziewięciu jeszcze studentów trzymała.

Chłopak tęsknił za księdzem, bo jego tylko jednego na świecie posiadał i kochał, ale tak się zajął nauką, że wkrótce i tęsknić prawie przestał, a nieraz pani Goblecka przemocą odbierała mu książki, a stawiała talerz ze skromnem jadłem, gdyż często zapominał o głodzie, dla nieprzeszkadzania sobie w zajęciu.

Pomimo łagodnego charakteru, był nielubiany przez swych współtowarzyszy z dwóch powodów: raz, że nie był wisusem i nigdy nie dzielił ich zabaw i figlów, po drugie, że tak w szkole profesorowie, jak w domu gospodyni, a w całej kamienicy lokatorowie, dawali za przykład wszystkim jego ciche i uprzejme postępowanie. To go stawiało wyżej od innych i depopularyzowało wśród nich, którzy szydząc z niego, zazdrościli mu jednak miru, który posiadał.

On nie wiedział zupełnie o tem, i jeżeli tylko mógł przysłużyć się któremu, czy to wyrobieniem trudniejszego zadania, czy objaśnieniem historji lub geografji, albo też znajomością języka niemieckiego, w którym był biegły, gdyż za życia matki zawsze po niemiecku z nią rozmawiał, każdemu najchętniej dopomógł.

Tak więc wśród cichej pracy we Lwowie przez dziesięć miesięcy rocznie — po której spędzał czas wakacji u zacnego opiekuna na wsi, gdzie nabierał sił do dalszego żmudnego życia — przeszło Arnoldowi lat sześć. Każdy egzamin przynosił mu chlubne świadectwa, które skrapiał łzami roskoszy czcigodny pleban, który kochał obcego, biednego sierotę, jakby własnego syna. Cieszył się nauką jego ksiądz Paweł, ale niezupełnie zadowolony był z niej młodzieniec. On uczył się nie dla chleba, którego braku nie znał dotąd — gdyż choć utrzymywany był bardzo skromnie, ale nie zaznał nigdy z łaski dobroczyńcy głodu i nędzy — lecz on kochał naukę, pragnął wiedzy, a nie będąc zarozumiałym, po odebraniu każdego przynoszącego mu zaszczyt świadectwa, smutniał i pytał sam siebie:

— Dlaczego chwalą mię, gdy ja nic nie umię?! Gdzież są nauki, których pragnę i pożądam? Kto odpowie na pytania, które drżą w mej piersi?

Jednego popołudnia, podczas wakacji, młodzieniec chodził krokiem niespokojnym po dziedzińcu plebanji, wyglądając co chwila nadejścia opiekuna, który od kilku dni uskarżał się na brak sił, ból głowy i kłucie w lewym boku, a teraz słabszy jak wczoraj, poszedł odwidzieć chorego na wsi. Arnoldowi zdawała się za długa ta nieobecność jego, i sam nie wiedząc dlaczego, czuł się dziwnie zaniepokojony. Chodził, stawał, i przysłaniając ręką promienie słoneczne, śledził idących drogą.

Doszedł nareszcie uszu jego turkot kół prędzej, zanim oczy spostrzedz mogły wóz wyścielony słomą, a w nim spoczywającego przybranego ojca swego.

Gospodarz, który przywiózł plebana, zastał go zemdlonego pod lasem, a poznawszy odwiózł do domu. Ksiądz przyszedł do przytomności w objęciu zrozpaczonego Arnolda, który stracił głowę zupełnie, i nie wiedział co począć. Ochłonął dopiero trochę po przybyciu lekarza, który wychodząc od chorego rzekł półgłosem:

— Z chorym jest bardzo źle! Przetrzymane zapalenie objęło płuca z obu stron. Radziłbym być przygotowanym na wszystko i wcześnie zaopatrzyć chorego na drogę wieczności...

Arnold oniemiał pod grozą tych słów.

Życie jego płynęło dotąd tak jednostajnie i spokojnie, zajęte jedynie nauką, która go całkiem absorbowała, że nawet przez myśl mu nie przeszło, by jaka zmiana była możliwa. Ksiądz Paweł był dla niego ojcem, przyjacielem, doradcą — wszystkiem jednem słowem! Dokąd pamięcią mógł zasięgnąć, zawsze widział się szczęśliwym przy nim i przez niego. W tej chwili dopiero zadał sobie pytanie, jakim sposobem, on, sierota, znalazł u niego serce i opiekę rodzicielską? I zamajaczyła mu w myśli chwila śmierci matki i chwila, gdy jego, płaczącego, ze świeżo usypanej mogiły zaprowadzono do księdza, a ten zaczął swą opiekę nad nim od pogłaskania jasnej główki i podania mu pełnego talerza poziomek z cukrem.

Potem coraz czulszy, lepszy i łagodniejszy był dla niego; później taki szczęśliwy i dumny z jego postępów, a gdy co parę miesięcy przyjeżdżał do Lwowa, jak dobra matka oglądał jego suknie, bieliznę, obuwie, i ostatni zapewne grosz wydawał na zaspokojenie jego potrzeb, bo sam w coraz więcej wytartym chodził surducie, a z czasem i buty pokryły się łatami.

Nigdy nie wspomniał o tem przed Arnoldem, przed tygodniem jednak usłyszał on, jak opiekun mówił do starego sługi, że z dwóch krów pozostałych trzeba wybrać lepszą i sprzedać, bo mu bardzo potrzeba pieniędzy. Gdzież się więc reszta krów podziała? Wszak gdy dzieckiem będąc biegał po pastwisku, pasło się ich dziesięć zawsze. Więc owa śliczna krasa, boczasta, siwa, i wszystkie inne zostały sprzedane? A na cóż księdzu potrzeba było pieniędzy, kiedy on tak mało dla siebie potrzebował? Jego to więc wychowanie zabrało wszystko?! Coś jak kleszczami ścisnęło go za serce. I ten dobrodziej jego teraz dogorywa, i jak świat długi i szeroki on zostanie sam jeden, bez serca przyjaznego, bez ręki opiekuńczej, która by mu przewodniczyła w życiu dalszem...

Z myślami podobnemi, które przygniatały swym ciężarem szesnastoletniego Arnolda, dni siedem spędził on nieruchomie prawie przy łożu księdza Pawła, który spiąc bezustannie usnął na wieki, nie przyszedłszy ani na chwilę do zupełnej przytomności.

Garstka ubogich, których zmarły był opiekunem, szła za trumną tego, który cnotami bogaty w tej chwili cieszył się już zapewne obiecaną sprawiedliwym nagrodą.

Arnold szedł za wozem pokrytym grobowym całunem jak nieprzebudzony ze snu ciężkiego, a

*

gdy zobaczył się znowu na plebanji, stanął na progu, nie wiedząc co począć ze sobą Ciężar tłoczący pierś jego, teraz dopiero w łzach się począł wylewać, i klęcząc przy łożu spoczywającego już w grobie opiekuna, łkał jak dziecię małe.

Na drugi dzień przybyli urzędnicy spisać akt pośmiertny i pozostałosci zmarłego. — Niestety! prócz owych dwóch krów, pary koni, bryczki, wytartych, starych mebli i niezbędnych sprzętów gospodarskich, nic więcej nie znaleziono. Spiżarnia nawet była prawie próżna, gdyż Dorota — sprawująca urząd kucharki i gospodyni, z których to godności wywiązywała się jak mogła poczciwa sześćdziesięcioletnia kobieta — objaśniła urzędników, że tylko jak „panicz“ był na wakacjach lub świętach, dwie potrawy gotowała na obiad, a zwykle ksiądz obywał się jedną i mlekiem zamiast kawy.

Biurko pełne było rozmaitych papierów, odnoszących się do spraw parafialnych, a wśród nich list w zapieczętowanej kowercie, zaadresowany: „Arnoldowi Kohlmann po mojej śmierci.“

Oddano mu więc nieotworzone pismo, a biedny, młody chłopak uciekł z nim do ogrodu, by je wśród łez odczytać.

Kowerta zawierała dwa listy. Jeden krótszy, pisany ręką księdza Pawła, drugi dłuższy, skreślony drobnem pismem kobiecem po niemiecku.

„Kochany Arnoldzie“ pisał ksiądz. „Nie mogę wiedzieć, jak prędko śmierć mię zaskoczy, i czy będę mógł wtedy powiedzieć ci to wszystko, com powinien, i oddać ci list, który twoja biedna matka mnie powierzyła. Jesteś teraz dzieckiem i nie zrozumiałbyś tego, co cię powinno przejąć do głębi. Dziś więc po powrocie moim ze Lwowa, gdzie pierwszy raz od lat pięciu rozstałem się z tobą, piszę do ciebie biedne dziecko i zostawiając ci list matki błogosławię raz jeszcze od niej i od siebie. Synu, pamiętaj, żeś powinien ugiąć kolana przed nieszczęsnym losem kobiety, której jesteś synem, która pokutując za winę swoją, mężnie do ostatniej chwili znosiła los, jaki niedoświadczenie jej zgotowało. Nie potępiaj także twego ojca — módl się tylko za nim!... Nie do dzieci należy żądanie rachunku z postępków rodziców! Pocieszam się nadzieją, że Bóg pozwoli mi wychować cię na zacnego i rozumnego człowieka. Obiecałem twej matce dołożyć starań do tego, wtedy, gdy czując się chorą i zniszczoną życiem pracy, boleści i trudów, przyszła wyspowiadać mi się z całej przeszłości i jakby w przeczuciu śmierci zostawiła u mnie list, który żądała, bym ci oddał, gdy będziesz miał lat dwadzieścia. Teraz masz lat dziesięć moje dziecko i odjechałeś odemnie dla potrzebnej ci nauki, a mnie tak smutno samemu, iż mi się zdaje, że umrę z tęsknoty za tobą!... Gdybym wiedział, że dorosłym już będąc list ten odbierzesz, opisałbym ci przeszłość moją. Z niej dowiedziałbyś się, jak wiele przecierpiałem w życiu, jak bardzo nieszczęśliwy i ubogi byłem — dla tego to dla niedoli i sieroctwa otwarte jest serce moje i w niem ty tak wiele miejsca zajmujesz. — W każdym razie list ten odbierzesz już po mojej śmierci. Błogosławieństwo Boga, matki twej i moje, niech cię w życiu chroni od wszystkiego złego! Nabywając nauk nie wysuszaj rozumowaniem serca twego, w którym oby nigdy nie brakło wiary, miłości i nadziei!

Ksiądz Paweł Sł . . . .“

Arnold odczytał list ten wśród głośnego łkania, podniósł go z czcią do ust, a po chwili wlepił wzrok swój w drobne, kształtne literki drugiego listu — listu matki swojej!... Nieznane uczucie błogości napełniło duszę jego... Nie był więc sam zupełnie, duch matki czuwał nad nim, a tu jeszcze zostawiła mu ta droga w spuściźnie własne myśli na papier przelane, pismo ręki własnej!

Zabierając się do odczytania, przeżegnał się bezwiednie prawie.

„Synu mój, synu najdroższy! — pisała. — Czuję się chorą, a tyś maleńki. Jeżeli umrę, co się z tobą stanie? ach! gdybym mogła udusić cię w mych objęciach!.. Czy wiesz ty dziecię me najmilsze, że ja cię karmię łzami mojemi, odziewam zdrowiem i życiem mojem, bo ciągłe ślęczenie nad robotą zużywa siły nie wprawione do tego!..

Posłuchaj, opowiem ci wszystko.

Rodzice moi posiadają trzy domy, w mieście położonem dwanaście mil za Wiedniem. Żebyś ty wiedział synku mój jedyny, jak mi tam dobrze przy nich było, jak mię kochali i pieścili, jak starali się odgadywać każde najmniejsze życzenie moje... Tak jak ja ciebie, tak oni mnie jedną tylko mieli. Dziad mój trudnił się fabrykacją powozów, która w skutkach przyniosła mu majątek świetny. Syna ożenił z córką bogatego kupca i osiadł siwowłosy staruszek przy rodzicach moich, i huśtał mnie, bawił, pozwalał na wszystko, przynosił ledwie nie gwiazdki z nieba. To też miałam już

lat dziesięć, a usypiałam na jego kolanach i nieraz budząc się widziałam pięknego ojca mojego i anielskiej dobroci i rysów matkę moją, klęczących przy nogach jego i zdejmujących ostrożnie elegan-ckie buciki i pończoszki z nóg moich. — A ty mój synku nieraz boso musisz biegać po błocie!... Przebacz mi to! widzisz, nie zawsze robotę dostać można, a i ja coraz słabsza, później wstaję, a wcześniej się kładę... ha! może to i nie choroba, lecz lenistwo moje!... Nie siebie mi żal, nie, tylko ciebie me dziecię i tych biednych, kochanych moich, dobrego dziadunia, rodziców ślicznych...

Miałam lat osiemnaście, mówiono, że byłam ładną; — o! dziś, sama siebie poznać nie mogę! Od kilku lat dobijano się już o rękę moją, bo byłam bogatą. Nie chcieli mię dać jeszcze z domu rodzice; dziadek myślał, że po mnie książe przyjechać musi, a i ja marzyłam o księciu. Nie wiem sama dla czego, bo i cóż mi brakowało? Co tylko zapragnęłam, posiadałam w tej chwili, nazwisko Kohlmanów szanowane było w całem mieście i znane daleko, jednak widocznie to wszystko mi nie wystarczało, gdyż w mych marzeniach zawsze księcia widziałam. To też gdy nowy oddział wojska przyszedł do naszego miasta i wchodzących witano okrzykiem radości, zobaczywszy jednego porucznika, zapytałam: „Dziaduniu, czy to książe? o! to pewnie książe!“

Odtąd marzenia o księciu zespoliły się z postacią ślicznego wyniosłej postawy szatyna, z którym wkrótce na balu się poznałam. — Poznałam i pokochałam, nie mogę powiedzieć na nieszczęście, bo mam ciebie Arnoldku drogi, ciebie, który masz jego oczy, włosy, usta! I on mię musiał wówczas kochać! O! kochał, bo skądżeby brał tyle słów miłośnych, tyle zaklęć i spojrzeń, których ogień topił me serce! — I dziadek stary i rodzice, wcale go nie lubili, ale nie mogąc patrzyć na łzy moje, w końcu na nasz związek zezwolić musieli. Myślałam, że oszaleję z radości, całowałam im nogi, a oni tylko płakali...

W kilka dni powiedział mi, iż otrzymał telegram i musi spieszyć do umierającej matki. Obiecał wkrótce powrócić, na łzy moje odpowiadając przysięgami i zaklęciami. Nie chciał wierzyć w bezgraniczną miłość moją i jako dowodu żądał, bym w kościele przed ołtarzem przysięgła, że mu wierną zostanę. Potrzebował-że on tej przysięgi, on, który wiedział jak bardzo go kocham?! — Poszłam. — Gdy wróciłam z przechadzki, której zażądał po wyjściu z kościoła, nie śmiałam już spojrzeć w oczy dziadka i rodziców moich...

Tego samego dnia odjechał.

Z początku odbierałam co tydzień listy miłości pełne, co raz jednak rzadziej pisał o powrocie. Matka wyzdrowiała i żądała, żeby kwitował i został przy niej, gospodarząc razem. Pisał, że przyjedzie tylko po mnie... Czekałam i płakałam — płakałam i czekałam. — W kilka miesięcy czekać już nie mogłam...

Spojrzenia wszystkich zwracały się na mnie, prócz spojrzeń rodziców i dziadka. Ci tak mnie wierzyli, że nawet myślą targnąć by się nie zdołali na cześć mą dziewiczą. Rozpaczając pisałam go niego. „Przyjedź tu — raz mi odpisał — ja cię osłonię nazwiskiem mojem, a potem rzucimy się do nóg rodzicom twoim i matce mojej, która nie chce dotąd zezwolić na nasz związek, mając inne względem mnie zamysły. Przyjedź najdroższa, ja cię kocham wiernie i szczerze!“ — Pisałam, wzbraniałam się jeszcze, ale czas się zbliżał, a ja od zmysłów odchodziłam z obawy spostrzeżenia mego stanu przez rodziców. Kochałam go zawsze szczerze; och! Boże! jak ja go kochałam! Jakżeż to grzeszna musi być miłość taka, gdy Bóg tak srogo karze za nią!

Ucałowałam siwe włosy śpiącego dziadka, uklękłam przy progu drzwi rodziców i zostawiłam tam małą łez krynicę. Zabrałam trochę rzeczy moich, trochę pieniędzy, i pojechałam tam, gdzie on mię wzywał. Arnoldzie, tobie nie wolno powiedzieć, że on był podły i nikczemny, bo on był twoim ojcem, ale tam, gdzie mi kazał przyjechać, nie było go wcale — rozumiesz — nie było go nigdy!

Później się dowiedziałam, że on od trzech lat był żonaty. Na mój list bezczelnie mi odpisał, że sama się przekonałam, iż ożenić się ze mną nie może, że jednak zawsze mnie tylko kocha jedną i będzie wtedy najszczęśliwszym, gdy mu miłości swej nie odmówię, a tak mnie jak i dziecięciu nie braknie na niczem. Rzuciłam precz list od siebie, bo zdawało mi się, iż pali mi ręce! Uciekłam też z tego miejsca, by się już o mnie nigdy nic nie dowiedział.

Wkrótce przyszedłeś na świat ty mój maleńki, i zapragnęłam żyć dla ciebie, boś ty biedna sierotka moja...

Nie napisałam ani razu do rodziców moich —

nie mogłam — nie śmiałam. Lepiej niech myślą, żem umarła, a jednak czasami czuję to dobrze, żem powinna to była dla ciebie uczynić.

Synu mój, synu drogi, kochany, jak mi żal zostawić cię samego, lecz nie mam już siły pracować tak dłużej. Nie wiem nawet kiedy i jak nauczyłam się szyć i haczkować. Ty mię nauczyłeś kochanie moje prośbą o chleb codzienny!

Zdaje mi się, iż dnie moje policzone — siły opuszczają mię z dniem każdym. Ten ksiądz poczciwy — taki zacny, szlachetny — płakał nademną i przyrzekł mnie zastąpić przy tobie. O lepiej ci będzie przy nim dzieciątko moje — nie zaznasz głodu i nie będziesz kaleczyć bosych nóżek twoich...

Bądź zdrów mój synku malusi — zdrów i szczęśliwy! nie myśl często o mnie, bo by ci to mąciło chwile szczęścia, których o byś więcej odemnie zaznał w tem życiu! A pomódl się też czasami za twoją matkę Elizę."

Dawno już biedny chłopiec skończył czytać, a list jednak trzymał jeszcze w kurczowo ściśniętej dłoni. Przycisnął go wreszcie do ust spiekłych, szepcząc: — Matko moja! o biedna, nieszczęśliwa moja matko! — i kilka łez gorących spadło na papier. Ciche łzy przeszły wkrótce w głośne łkanie, a wraz z niem ulatywały ostatne dziecinniej swobody odbłyski. Sieroctwo zupełnie pasowało młodego chłopaka na mężczyznę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Po latach dwudziestu.

VIII.

Nazajutrz dodnia prawie, wszedł Armand do pokoju przyjaciela.

— I cóż? — spytał na łóżku siadając. — Czytałeś proces?

Młody malarz przetarł sobie oczy zaspane i przez chwilę został dłużnym odpowiedzi.

-- Poczekaj.. troszeczkę... muszę myśli pozbierać.. — ziewnął szeroko. — Najprzód... gdzież to ja jestem? Aha! w Rennes! Tam do djabła! a tom zaspał! — usiadł na łóżku strząsając sen z powiek. — Ależ bo niedawno głowę do poduszki przyłożyłem, tak mnie ten proces zajął niesłychanie! Jest tam pewny przewodniczący... osioł pierwszorzędny, i zacny, uczciwy adwokat, któremu bym z gustem dał buzi! Jak Boga kocham! drugi Cicero!

— Sądzisz tę sprawę po artystycznemu — skrzywił się Armand podrażniony, iż szanownego kolegę jego ojca nazwano tak nieprzyzwoicie. — Adwokat, o którym wyrażasz się z takim entuzjazmem, było to indywiduum wcale nie osobliwsze! Żył na wiarę z jakąś kobietą i nawet... mieli dziecko.

— Ha, ha, ha! to zbrodnia nie lada! — parsknął śmiechem Gérard.

— Koniec końców, dotąd mi nie powiedziałeś — przerwał Armand urażony śmiechem — jakie twoje zdanie o tym procesie? Nieprawdaż — dodał żywo — że ten człowiek był winnym najwidoczniej?

— Jak dawno czytałeś to sprawozdanie? — rzucił mu Jan pytanie zamiast odpowiedzi.

— Oh! bardzo dawno!... Miałem może wtedy lat piętnaście...

— Przeczytaj że je teraz powtórnie, mój drogi.

Ton jego mowy stał się niemal uroczystym.

— Armandzie — przemówił znowu — pytasz mnie tak natarczywie, bo masz w gruncie serce najlepsze, bo nie chcesz zostać z dręczącą cię niepewnością co do sprawy tak ważnej, a w której twój ojciec główną rolę odegrał. Otóż pozwól podzielić się z tobą uwagą, która mi się mimowoli nastręczyła. Byłem jeszcze cały pod wrażeniem tego dramatu, tem więcej przejmującego, iż w życiu, nie na deskach teatralnych, go odegrano, gdy przerzucając bezmyślnie kartki dalszych lat dziennika, napotkałem w „Różnych wiadomościach“ o dwa lata później, nieszczęsny wypadek szaleństwa zupełnego, skonstatowany przez lekarzy u pana d'Arçay. Nie wiem dla czego, ale te dwie daty tak zbliżone, uderzyły mnie niesłychanie. Czy mogę wypowiedzieć bez ogródki myśl moją, drogi Armandzie?

— Kończ, kończ! — Armand skinął smutnie głową — zgaduję co chcesz powiedzieć!

— Pan d'Arçay został furjatem nieuleczalnym, we dwa lata później. Któż atoli zaręczy, że już podczas procesu nie był pod wpływem rozdrażnienia chorobliwego, że nie miał fiksacji widzenia w każdym zbrodniarza i że ofiarą tej manji nieszczęsnej nie padł biedny, niewinny Torquenié?

— Ta sama myśl i mnie w nocy nagabywała! — Armand z jękiem schował twarz w dłonie rozpalone. — Oh! słów nie ma, aby ci wypowiedzieć jakie męki przetrwałem!... — Żałuję szczerze — zaczął znowu mówić po chwili milczenia, głosem głuchym, urywanym — żem wypędził tego człowieka. Każę szukać go po całem mieście, zdobędę się na odwagę i wysłucham uważnie do końca. Musi mi powtórzyć słowo w słowo śledztwo całe, które wyryło mu się bezwątpienia głoskami płomienistemi w sercu i pamięci!

— Nie ma już w mieście tego biedaka — potrząsł Jan głową.

W kilku słowach opowiedział przyjacielowi dziwną scenę i spotkanie się z galernikiem, na wysepce obok młyna. Gdy skończył, Armand czas jakiś pozostał boleśnie zadumany i bez ruchu. Staczał widocznie

walkę straszliwą z samym sobą.

Zerwał się nagle na nogi.

— Jest jeden w mieście — zawołał — który może udzielić mi co do tej sprawy szczegółów nieocenionych! Idę prosto do niego!

Wybiegł szybko z pokoju wzruszony i rozdrażniony.

IX.

Za chwilę później Armand pukał do bramki domku niskiego i skromnego, po drugiej stronie placu obok trybunału. Kobieta niemłoda przyszła mu otworzyć. Spytał czy może się widzieć z panem Loiseau? Kobieta wprowadziła go natychmiast, najprzód na długi i ciemny korytarzyk, wskazując na końcu tegoż drzwi prowadzące do niewielkiej izdebki, której okna zakratowane wychodziły na wąską, poprzeczną uliczkę, z drugiej strony domku.

Gdy Armand stanął na progu, ogłuszył go wrzask przeraźliwy. Cały pokój był niemal jedną wielką klatką, pełną kanarków. Ptaszki te rozdzierały gardziołka jeden nad drugiego, przenikając na wskróś uszy intruza nieszczęśliwego, który ośmielał się przerwać ich samotność. Pod jednem z dwóch okien stał duży i prosty stół dębowy, założony papierami, a przy nim siedział staruszek suchy, zwiędły, przygarbiony, i czytał najspokojniej, jakby nie słyszał zupełnie pisków ogłuszających.

Skoro spostrzegł Armanda, wstał opierając się o poręcz krzesła, zdjął z uszanowaniem z głowy łysej czapeczkę czarną aksamitną, wytrzeszczył oczy i otworzył usta z wielkiego zdziwienia nad wizytą tak niespodziewaną.

— Dawno już nie miałem przyjemności widzieć pana — przemówił Armand ściskając dłoń staruszka, który mu fotel skórą obity przysuwał.

— Bardzo to ładnie z pańskiej strony, żeś raczył sobie przypomnieć starego samotnika. Nie bywam nigdzie od lat dziesięciu... nie wychodzę prawie z domu, prócz wieczorem na cmentarz... Od chwili mojego nieszczęścia... Moja Domcia najdroższa! Moje biedne dziecię!... Z pokoju frontowego atoli, widywałem nie raz pana przechodzącego... Cieszyłem się widząc jak rośniesz, jak wreszcie zrobił się z pana cały mężczyzna. Jakby to się był pysznił synem nieboszczyk pan radca, gdyby był się tej chwili doczekał. Mój Boże! Mój Boże!

— Wiem, wiem! — Armand westchnął rozrzewniony. — Byłeś szczerze przywiązany do mojego ojca, kochany panie Loiseau.

— Cóż chcesz mój młody panie! Gdy się lata całe razem żegluje po burzliwych falach życia, nie jeden węzeł, nie jedno wspomnienie łączy nas coraz ściślej nawzajem. Pan radca wzbudzał we mnie cześć głęboką, a i on ze swojej strony raczył mieć cokolwiek przychylności dla swojego pisarza.

— Jak długo spełniałeś pan ten obowiązek?

— Przez lat piętnaście.

— A porzuciłeś pan urząd pisarza od lat dziesięciu?

— Tak panie. Po śmierci mojej córki jedynej.

Kanarki podniecone głosem obcym, wszczęły na nowo hałas piekielny. Pan Loiseau pospuszczał story w oknach, aby ciemnością uspokoić je cokolwiek.

— Racz pan wybaczyć temu biedactwu! — zwrócił się do Armanda. — Za wiele sobie pozwalają, to prawda; są bo też mojem jedynem towarzystwem. Nie przyzwyczajone widywać obcych w tej izdebce. Dziwisz się pan zapewne, widząc ich tyle w koło mnie. Moja słodka pieszczotka umierając — głos staruszka zadrżał łzami tłumionemi — poleciła mojemu sercu parkę, którą czule kochała. Tak starannie pielęgnowałem i tę pierwszą parkę kanarków, i tychże potomstwo, że mam tego dzisiaj około dwieście sztuk. Hałasują po trochę... ale jużem się z niemi oswoił. Wyobrażam sobie, że moja Domcia słucha z góry ich świegotu z przyjemnością. Nie razi mnie też hałas, który sprawiają i nigdy na niego się nie skarzę.

Armand patrzył rozczulony na biednego starca, który cały utonął w przeszłości. Zmięszany, szukał po głowie od czego by zacząć, aby zręcznie wybadać dawnego pisarza o stan zdrowia pana d'Arçay, podczas owego śledztwa nieszczęsnego, nie zdradziwszy jednak przed staruszkiem powątpiewań, które ta sprawa w umyśle syna wzbudziła. Traf niespodziewany wybawił Armanda z kłopotu.

Głowa dziwna, rozczochrana, silnej i smagłej brunety, ukazała się w oknie otwartem. Postać ta wsunąwszy rękę przez kratę i odchylając story spuszczone, zaczęła głosem przeciągłym i monotonnym prosić o jałmużnę.

— Że też policja nie sprzątnie tej żebraczki naprzykrzonej! — mruknął z gniewem dawny pisarz sądowy. — W tak młodym wieku rękę wyciągać! I żeby to stworzenie nie miało z czego żyć przynajmniej! Ale ma chleba kawałek w fabryce Breton. Kiedyż ona woli włóczyć się po ulicy, niż pracować na życie!

— Któż to taki? — spytał Armand.

— Eh! — machnął p. Loiseau ręką pogardliwie — to córka owego zbrodniarza, którego badał jeszcze nieboszczyk pan radca. Nazywał się Torquenié. Sprawa ta narobiła w owym czasie hałasu co nie miara!

— Było to o ile mi się zdaje — Armand wtrącił głosem drżącym — na rok jakoś przed ojca zasłabnięciem?

— Nie... na dwa, czy trzy lata... ale już wtedy pan radca nie czuł się całkiem zdrowym.

— Doprawdy? — bąknął Armand, a serce mu w piersi młotem uderzyło.

— Widzisz pan, za wiele tatko pracował, za nadto gwałtownie rwał się do każdej sprawy, to go zabiło przedwcześnie. Oh! i ten proces niemało go zdrowia kosztował. Miał do czynienia z łotrem przebiegłym, kutym — jak to mówią — na cztery nogi! który ani rusz przyznać się nie chciał! Nieraz podczas badań

ojciec pański stawał nagle cały ponsowy, jakby go kto żarem obsypał, jakby go miała krew zalać... Razu pewnego — wtedy na to nie zwróciłem uwagi, ale teraz dokładnie sobie przypominam — otóż dnia pewnego podczas gdy badał delikwenta, rzucił się do kominka, porwał zegar oburącz, wyniósł na balkon, drzwi zatrzasnął, a chwytając się za głowę zawołał:

— Ta przeklęta maszynerja głowę mi rozsadza!

— Innym znowu razem poszedł do swojego gabinetu, ubrał się w biret i togę sędziowską, mówiąc do mnie: — „Nie przyznaje się, bo nie wie kim jestem. Gdy mnie w todze zobaczy, przestraszy się i wszystko wyśpiewa!“ — Śmiałem się wtedy, myśląc, że sobie żartuje, ale gdy się to nieszczęście stało, zrozumiałem, że od dawna nie musiało być wszystko w porządku w tej biednej głowie.

Armand temi słowami był jak piorunem rażony. Zmienił tok rozmowy, zaczął wychwalać staruszkowi jego ptaszki i kwiaty w ogródku, wreszcie go pożegnał, a staruszek nie śmiał zapytać syna dawnego swojego zwierzchnika, dla czego po tylu latach przyszedł zakłócić jego spokojną samotność?

Gdy Armand wrócił do domu, siadano właśnie do stołu. Walentyna nastawiła mu czoło do pocałowania, ze ślicznym rumieńcem i szepnęła czule:

— Spodziewam się mój drogi, że będziesz dzisiaj weselszym i że nie ujrzę więcej chmury ponurej na twojem tak zwykle jasnem czole!

Stół u pani d'Arçay miał dziś o jednego gościa więcej. Hr. Trameillan przyjechał po córkę.

Jan Gérard odszukał w nim dawną postać, którą zapamiętał z lat swoich dziecięcych. Ząb czasu nie nadwerężył w niczem tego ciała, jakby ze spiżu wykutego. Mimo lat sędziwych hrabia trzymał się prosto, sztywnie, głowę niósł wysoko, usta blade i wąskie tak samo jak dawniej odymał pogardliwie, oczy czarne, bystre, mrużył impertynencko, włos mu tylko zrzadł trochę na głowie i zawsze jasnoblond, wypłowiał do reszty. Czy to nadzwyczajne zakonserwowanie, zawdzięczał życiu spokojnemu na wsi, czy też burze polityczne i zawody, których doznał, zrobiły z niego przedwcześnie mumję zimną, sztywną i zasuszoną, mogącą w tem stadjum wieki przetrwać, dość na tem, że Gérard prawie w nim różnicy za tych lat kilkanaście dostrzedz nie mógł.

Po śniadaniu Walentyna z ojcem odjechała. Narzeczeni żegnali się czule, choć bez słów, spojrzeniem i uśmiechem. Nazajutrz całe towarzystwo miało zebrać się na obiad w zamku d'Albray.

— Do djabła! — strzepnął Jan rękami, gdy poszli na cygara do ogrodu — nie wesoła figura, ten twój teść przyszły!

— Natura zimna i poważna...

— Powiedz raczej: istna bryła lodu! Brrrr!... aż ciarki przechodzą patrząc na niego.

— A jednak miał i on chwile zapału, do szaleństwa niemal posuniętego. Bił się w Wandei za sprawę księżnej de Berry, w kostjumie à la Rochejaquelain. To też piechury poczciwego Ludwika Filipa, złapali go przy pierwszej lepszej okazji. Nie chciał w żaden sposób przebrać się inaczej, aby ułatwić sobie ucieczkę. Marzył o śmierci męczeńskiej pod nożem gilotyny, tymczasem skończyło się wszystko na kilku miesiącach więzienia.

— Biedaczysko! Widać po nim, iż dotąd niepocieszony, że nie raczono mu nawet głowy uciąć!

— Daj pokój drwinkom Jasiu. Jest przyczyna ważniejsza i nader smutna, iż rysy hrabiego jak i dusza zlodowaciały. Przed wielu laty dotknął go cios srogi. Zgasła mu żona, którą ubóstwiał, i to w kwiecie wieku, istota piękna cudownie i równie dobra, równie święta. Nigdy już tej straty nie przebolał, nigdy się po niej nie pocieszył.

Nazajutrz udano się w trójkę na obiad do zamku d'Albray, owym wąwozem okrytym zielonością jak niegdyś przed laty, gdy tę okolicę opisywał tak poetycznie w swojej obronie adwokat Rousseau.

Mimo iż myśl Armanda była wyłącznie zajęta narzeczoną, dreszcz go przeszedł, gdy wyjechawszy z lasu, mijali leśniczówkę otoczoną wieńcem lip młodych i całą dzikiem winem okrytą.

Tam to przed laty dwudziestu odegrał się po części ów dramat tajemniczy, który mu od trzech dni sen i apetyt odbierał. Niemym ruchem wskazał domek Gérardowi. W chwilę później zajeżdżali pod kolumnadę zamkową, a przed gankiem witała ich Walentyna piękniejsza niż kiedykolwiek, z okiem płonącem radością, z twarzyczką zarumienioną, z kibicią cudnie odznaczoną fałdami miękkiemi czarnej amazonki.

— Tylko co z konia zsiadam! — zawołała wesoło. — Wybaczcie państwo, za minutkę będę z powrotem.

Skoczyła żywo jak sarenka w boczne drzwi, prowadzące do jej pokoi. Nie na darmo przyrzekła. Zanim hrabia de Trameillan z wszelką powagą i galanterją podawszy ramię pani d'Arçay, wprowadził gości swoich do głównego salonu na pierwszem piątrze, w drzwiach przeciwległych pojawiła się na progu, jakby rószczką czarodziejki przemieniona, urocza postać Walentyny, z różą purpurową u łona i w czarne zwoje włosów wetkniętą, w sukni perkalowej również bukiecikami róż i konwalji zasianej. Znaleźli jeszcze w salonie proboszcza ze wsi Bonnières i kilku sąsiadów hrabiego, a między nimi nowego dziedzica w Marnes, pana de Rigny.

Walentyna pociągnęła Armanda za sobą w głęboką niszę dużego okna weneckiego. Przez okno otwarte wciągali całą piersią woń cudowną jaśminu i rezedy; w milczeniu dłonie ściskając tonęli wzajemnie w źrenicach jedno drugiego; zapominając o ziemi, byli jakby wniebowzięci! Kochali się tak czule i od tak dawna! Dotąd przypominali sobie z najwyższem wzruszeniem swoje pierwsze spotkanie.

Było to na zakręcie drogi między Bonnières a wsią należącą do zamku d'Albray; prawdziwe gniazdeczko

wysłane mchem miękkim, ocienione jasionem rozłożystym, na którym mnóstwo ptasząt wesoło świegotało. U stóp pagórka toczyła niewielka rzeczółka fale srebrzyste. Armand miał wtedy rok dziewiętnasty. W latach dziecięcych dużo się nachorował, potem nagle w górę wystrzelił. Młodzieńcem też był nadzwyczaj wiotkim, trzymał się pochyło, twarz miał bledziutką i jak u panienki delikatną, oczy tylko promieniały zdradzając pewną męską energję i bystrość niezwykłą umysłu. Lekarze nakazywali mu jak najwięcej ruchu na świeżem powietrzu i wszelkie ciała ćwiczenia. Matka więc kazała go uczyć konnej jazdy, fechtunku, pływania i na polowanie z częsta wysyłała. Cóż kiedy Armand w torbie do polowania umiał zawsze schować pomiędzy zapasy żywności dane przez matkę i pożywienie dla ducha, to jest książkę. Skoro napotkał na drodze kącik cienisty, woń leśną i źródło wody szemrzące tajemniczo, siadał pod drzewem, wyjmował książkę z torebki i nieraz tak po trochę zaczytany, a więcej jeszcze tonąc w słodkich marzeniach, do wieczora późnego pozostawał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Tajemnice wielkiego świata.

(Ciąg dalszy).

XXV.

Paryż jest miastem pełnem tajemnic. Istnieją tam rozmaite profesje, nieznane gdzieindziej. Obok policji rządowej, która wyszukuje zbrodniarzy, jest z jakie pół tuzina policji prywatnych, które zajmują się jedne wyszukiwaniem rzeczy lub psów zgubionych, drugie służą mężom zazdrośnym lub żonom oszukującym mężów.

Na ulicy Saint-Mare-Feydeau, w podwórzu, na dole, na drzwiach brązowo lakierowanych, wisiała tablica z tym nic nieznaczącym napisem: Biuro.

Biuro to, był to maleńki pokoik, w którym stół i dwanaście krzeseł tworzyło całe umeblowanie.

Przed stołem, okrytym suknem zielonem i zarzuconym papierami, w wielkim fotelu siedział jakiś mężczyzna, o twarzy wyżółkłej, wygolony i ubrany pretensjonalnie, w surducie czarnym, kamizelce białej, na której błyszczał łańcuch gruby od zegarka, mogący być tylko imitacją złota, a na palcach błyszczało z jakie pół tuzina pierścionków.

W jakim był wieku, trudno było odgadnąć; mógł mieć tak lat trzydzieści, jak i sześćdziesiąt.

Pan Pécantin — jak go nazywano — przez cały ranek odbierał wizyty. Rozmaici ludzie tam przychodzili: kobiety wyglądające na bony lub panny służące, młodzi ludzie mniej lub więcej eleganccy, a nawet niekiedy ludzie poważniejsi lub dependenci adwokaccy.

Wieczór, przy zupełnym już zmierzchu, nim zapalono latarnie na ulicy i w sieniach, widać było nieraz elegancką damę, starannie zawelonowaną, która zostawiwszy swój powóz na ulicy Vivienne lub de Richelieu, wsuwała się cichaczem do tego pokoiku, w którym rządził p. Pécantin.

Jakie było jego zatrudnienie? Na zapytanie podobne stróż odpowiadał: — To adwokat.

Sąsiedzi utrzymywali, że to pośrednik handlowy, lecz na kategoryczne zapytanie nikt odpowiedzi dać nie umiał.

P. Pècantin zajmował się rozmaitemi interesami. Z głębi tego małego pokoiku, za który płacił osiemset franków rocznie, rządził Paryżem.

Artur wie od niego o prowadzeniu się panny Klary, a panna Klara o projektach małżeńskich pana Artura. Ma zawsze ludzi na rozkazy, którzy mu doniosą w dwudziestu czterech godzinach, czy pani K..., żona urzędnika, będzie nieczułą na dary tak piękne, jak brasoletka za sześćset franków, lub szal kaszmirowy za tysiąc.

Mógł by dać dobrą radę panu M..., który utrzymuje, że jego diva kosztuje go bardzo drogo. Odszukuje on także umkłych dłużników. Za miernem wynagrodzeniem poszukuje wekslów sfałszowanych i robi wszelkie starania, aby wpakować młodego człowieka do Clichy.

P. Pécantin jest przytem bardzo zręczny. Klienci jego nigdy się nie uskarzają. Jednakże przed trzema dniami piękna grzesznica, która dotąd wierzyła mu święcie, okrzyczała go głupcem. Grzesznicą tą była Corinna Destremont. Poleciła panu Pécantin odszukać pana de Villenave, za którym daremnie przetrząsnął on cały Paryż. Liczyła także na niego, że się dowie, gdzie wyjechała Paulina Régis, lecz i o tem nie mógł jej nic powiedzieć.

Corinna odnalazła najpierw Paulinę, potem pana de Villenave. Jednakże, jak się wkrótce przekonamy, potrzebowała ona jeszcze p. Pécantin. Wieczór dnia tego, w którym Paulina prosiła ją na śniadanie, Corinna kazała się zawieźć na ulicę Saint-Mare-Feydeau.

P. Pécantin był sam. Widząc wchodzącą Corinnę, przybrał minę pomięszaną i szepnął:

— Nic jeszcze!

Corinna rozśmiała się ironicznie, i odrzekła:

— Panie Pécantin, sądziłam, żeś zręczniejszy. Czego szukasz daremnie, ja znalazłam.

— Znalazłaś pani pana de Villenave?

— Tak.

— Kiedy?

— Dziś rano.

Pan Pècantin zagryzł usta i odrzekł z gniewem:

— A więc nie potrzebujesz już mię pani?!

— Przeciwnie...

Mały człowieczek wyprostował się. Corinna opowiedziała mu wszystko co widziała. Zapisał sobie ulicę i numer domu, w którym widziała go w oknie. Potem dodała jeszcze:

— Teraz już nie za trzy dni, nie jutro, ale natych-

miast muszę wiedzieć, u kogo ukrywa się p. de Villenave, co mu się wydarzyło, i dlaczego mię nie poznał.

P. Pécantin chciał naprawić błąd pierwszy. Okazał więc wielką gorliwość i odrzekł spiesznie:

— Teraz ja już sam osobiście zajmę się tem. Potrzebuję tylko dwie godziny czasu, a będziesz pani wiedziała wszystko.

— Masz pan czas do dwunastej w nocy — odpowiedziała Corinna. — Gdzież się z panem obaczę?

— Gdzie pani chcesz.

— U mnie więc... Wracam teraz do domu i czekać będę na pana — i pożegnała pana Pécantin.

Rano jeszcze mówiła do siebie:

— Leon wygląda na idiotę. Jeżeli rzeczywiście dostał pomięszania, nie myśli już o pani de Planche-Mibray, i moje sto tysięcy franków przepadło. Ale żeby doszedł do tego stanu, musi być w rękach ludzi, którzy mają w tem interes, a ten idjotyzm chwilowy można będzie może wyleczyć.

Powróciła więc do domu i czekała cierpliwie. O trzy kwadranse na dwunastą p. Pécantin zjawił się. Wszedł z uśmiechem na ustach i twarzą wypogodzoną, Tym razem był panem sytuacji.

— Pani — rzekł do Corinny — pan de Villenave był porwany, wychodząc z balu opery.

— Przez kogo?

— Przez kobietę, która go zaprosiła na kolację, i zaprowadziła do siebie.

— A ta kobieta mieszka na ulicy Caumartin?

— Naturalnie.

— Czy należy do naszych?

I Corinna uśmiechnęła się.

— Tak i nie...

— Jakto?

— To cyganka.

— Ach! — szepnęła Corinna, która w tej chwili przypomniała sobie, co jej opowiadał służący pana de Villenave o Municie.

Pan Pecantin mówił dalej:

— Była ona sławną w Paryżu przed kilkoma laty.

— Jak się nazywa?

— Dolorés.

— A! — odrzekła Corinna — przypominam sobie. Musi być jeszcze i teraz bardzo piękną! Ale Villenave nie jest człowiekiem, który by zwarjował z miłości! I jeżeli to już wszystko co pan wiesz...

— O przepraszam — ozwał się pan Pécantin — wiem jeszcze wiele innych rzeczy.

— A więc mów pan.

— Dolorés nie jest kochanką pana de Villenave.

— A więc?

— Ale on sądzi, że nią jest...

Corinna spojrzała zdumiona, pan Pécantin jednak dodał:

— Daje mu palić opium od tygodnia, a pani wiesz, jakie zwykle potem bywają marzenia.

Corinna teraz zrozumiała wszystko: najpierw minę ogłupiałą pana de Villenave, potem zamiary prawdopodobne cygana i jego siostry. Pan de Villenave chciał użyć dla siebie Munita, a tymczasem cygan korzystał z niego, chcąc pewnie wyzyskać dla siebie tajemnicę urodzenia pani de Planche-Mibray.

Corinna, jak widzieliśmy, miała zasady dość elastyczne, a sto tysięcy franków miały dla niej wiele uroku. Teraz jednak była zadowolona, że mogła ulżyć wyrzutom sumienia. I mówiła do siebie:

— Teraz już nie tylko dla tego oszusta Leona będę pracować, ale także by uwolnić młodą kobietę od niecnych zapewne knowań cyganów.

Tak uspokoiwszy swe sumienie, Corinna mówiła dalej głośno, zwracając się do pana Pécantin:

— Jakim sposobem zebrałeś pan te szczegóły?

— Przepraszam panią, ale jeszcze nie skończyłem.

— Mów pan więc dalej...

— Dolorés ma kochanka; kochankiem tym jest hiszpan bardzo bogaty, co jest rzadkiem, i bardzo zazdrośny, co jest o wiele częstszem. Hiszpan zezwolił na tę komedję, ale zabiłby Dolorés, gdyby kochała godzinę pana de Villenave. Ażeby go uspokoić, Dolorés, która czuwa ciągle nad więźniem, wykrada się co nocy przed drugą godziną nad ranem.

— I gdzież idzie?

— Do Hiszpana, a z nim na kolację do la Maison-d'Or. Gdybyśmy chcieli porwać pana de Villenave, nie byłoby to trudnem.

— Jakto?

— Najpierw, ponieważ od drugiej do szóstej Dolorés nie jest u siebie...

— Ale są sługi.

— Jeden, jedyny murzynek, z którym łatwo dać sobię radę.

— A... stróż?

— Za dwadzieścia pięć luidorów można go kupić.

— To bagatela. Ale zresztą, czy Villenave zechce wyjść?

— O tej godzinie jest kompletnie ubezwładniony przez opium i nie ma żadnej woli. W razie potrzeby można go zanieść.

— Jakim sposobem wiesz pan to wszystko?

— O! najłatwiejszym w świecie.

— No przecież?

— Pokój sąsiedni jest teraz wolny. Zamieszkały był pierwej przez młodego człowieka, który był tajemnym kochankiem Dolorés. Ten w cienkiej ścianie wywiercił świdrem otwór, który wychodzi do pokoju Dolorés, i przez ten otwór widział zawsze, czy hiszpan już odszedł. Wtedy otwierał szafkę zrobioną w murze, wewnątrz której są drzwi, prowadzące do pokoju Dolorés, a zasłonięte tam bibljoteką, która zakrywa całą ścianę. Bibljoteka ta ma podwójne dno, które się otwiera za pociśnięciem sprężyny ukrytej. Podwójne dno ukrywa drzwi, i można tak przejść z pokoju niezajętego do pokoju cyganki.

— Ale, jak to się stało — mówiła Corinna dalej — że Dolorés nie kazała zamurować tego przejścia?

— Bo młody człowiek wyjechał tylko i ma niedługo powrócić. Ale stróż ma klucz od tego pokoju.

— I on to panu wszystko opowiedział?

— Za dziesięć luidorów.

— Więc Dolorés go nie płaci?

— Gdzietam, płaci, lecz brat Dolorés, który jest nader gwałtowny, pokłócił się z nim raz i o mało go nie bił.

— Będzie więc trzymał z nami?

— Obiecałem mu dwadzieścia pięć luidorów.

— To bagatela — szepnęła do siebie Corinna — pani de Planche - Mibray za to wszystko zapłaci! I usiadłszy przy stoliku, napisała bilet następującej treści:

„Do pana doktora Morel, na ulicy de Tournon.

Mój kochany doktorze!

Ostatni twój list, tak pełen miłości, gdyż piszesz do mnie od trzech miesięcy, zmiękczył nareszcie serce me, dotąd twarde jak skała.

Jeżeli, jak mi piszesz, kochasz mię do szaleństwa, i jesteś w stanie zrobić dla mnie wszystko, nawet coś najbardziej awanturniczego, sądzę, że chwila nadeszła, w której, gdy chcesz, możesz mi to dowieść.

Człowiek taki jak ty uczony, musi prowadzić życie bardzo porządne.

W chwili, gdy piszę do ciebie, bije dwunasta, i jestem przekonana, że siedzisz spokojnie w swoim gabinecie i piszesz przy biurku, odkrywając pewnie jaką nową tajemnicę w dziedzinie nauk.

List mój więc zastanie cię. Zostaw twoją pracę, i przychodź, gdyż potrzebny mi jesteś. Corinna“

Napisawszy ten list, zadzwoniła.

— Józefie — rzekła do służącego, który wszedł — weźmiesz dorożkę, każesz się zawieźć na ulicę de Tournon i przywieziesz mi osobę, która jest wymieniona na adresie.

Gdy służący odszedł, odezwała się do pana Pécantin:

— Teraz nim przyjdzie nasz pomocnik, ułóżmy plan bitwy.

P. Pécantin wyciągnął z kieszeni ładną tabakierkę, a zanurzywszy w niej swe kościste palce i zażywszy szczyptę tabaki, po chwili się odezwał:

— Plan jest bardzo pojedynczy.

— Jaki? — spytała Corinna.

— Zaprowadzę panią na ulicę Caumartin.

— Dobrze.

— Pani i ten pan, po któregoś posłała, porozumiecie się ze stróżem. On bierze wszystko na siebie.

— A pan? — zapytała Corinna. — Nie będziesz ani trochę należał do tego?

— Pani — odpowiedział — jestem człowiekiem, który daje rady, środki, objaśnienia, ale sam nie działa.

— Nawet gdy się panu dobrze zapłaci?

P. Pécantin zawahał się chwilę.

— Kiedy rzeczywiście — odrzekł — państwo mnie nie potrzebujecie.

— Niech i tak będzie — szepnęła Corinna — obejdziemy się bez pana. — Spojrzała na zegarek. Była pierwsza po północy.

— Więc o drugiej idzie ona na kolację? — rzekła.

— Tak. I gdy chcesz pani, mogę wam pomódz w tej sprawie, nie narażając się wcale.

— Jakto?

— Wejść w nocy do pokoju zamieszkałego, to przestępstwo, które grozi kryminałem — mówił mały człowieczek — jeżeli ktoś nie jest osobiście interesowanym.

— Nie chcesz się więc pan narażać?

— Nie, bo prefekt policji mógł by się wmięszać w moje sprawy i przeszkodzić moim interesom.

— A więc?

— Ale mogę wam służyć na dworze.

— W jaki sposób?

— Wchodzicie na ulicę Caumartin. Stroż wprowadza was po cichutku do pokoju niezamieszkałego.

— Dobrze.

— Czekacie, żeby Dolorés wyszła.

— Naturalnie.

— Ale może ona nagle powrócić i was tam zastać.

— A cóż pan zrobisz?

— Będę w la Maison-d'Or, obok pokoiku, w którym zwykle siedzi hiszpan z cyganką.

— A potem?

— Gdy zasiędą do stołu, wrócę na ulicę Caumartin, przejdę się pod oknami i zakaszlę trzy razy. Będzie to hasłem, że można działać.

— Dobrze — odrzekła Corinna.

W pół godziny potem dorożka zatrzymała się przed domem pięknej grzesznicy. Służący przywiózł doktora Morel. Był to człowiek młody, mający najwięcej lat dwadzieścia osiem, który nie dawno wyszedł z uniwersytetu i mało miał jeszcze bardzo pacjentów. Pomimo całej powagi, jaką sobie nadawał, przebijał w nim zawsze jeszcze niedawny student. Biedak miał serce bardzo tkliwe i zakochał się w Corinnie Destremont.

Pewnego wieczora, znalazł się on, biedny lekarz, bez sławy, bez pacjentów i bez pieniędzy, w buduarze Felicji, dawnej gryzetki, która została nagle kochanką możnego magnata.

Felicja widywała się czasem z dawnym swoim kochankiem z uniwersytetu; kochanek ten był przyjacielem doktora i zaprowadził go do Felicji, która dawała wielki bal.

Młody doktor poznał tam Corinnę i rozkochał się w niej na zabój.

Od trzech miesięcy rujnował się na bukiety i posłańców z listami. Pisywał codziennie do Corinny, ale listy zostawały bez odpowiedzi. Corinna, jakeśmy powiedzieli, była kobietą praktyczną. Nic nie zaniedbywała i umiała w potrzebie zużytkować miłość młodziana,

dotąd niepotrzebną. Zastanowiwszy się więc chwilę, rzekła do siebie tego wieczora:

— Potrzebuję człowieka, który by mię słuchał bezwzględnie, a człowiekiem takim może być tylko szalenie zakochany. Zresztą trzeba, aby był lekarzem, a ten zanadto jest biednym, aby nie był uczonym. Jest to właśnie człowiek, jakiego mi potrzeba.

I napisała do niego, jakeśmy to już widzieli.

Można sobie wyobrazić wrażenie, jakie zrobił ten list na biednym chłopcu. Pracował właśnie — jak Corinna się spodziewała — w swoim maleńkim pokoiku na ulicy de Tournon, gdy lokaj przyszedł.

O mało nie rzucił się służącemu na szyję, przeczytawszy ten list obiecujący. W pięciu minutach był ubrany i gotów do odjazdu.

Gdy wjechał na ulicę Malesherbes, głowę miał tak odurzoną, że wyobrażał już sobie, iż Corinna oczekuje go w jakimś roskosznym buduarze, a stół zastawiony do kolacji.

Mylił się trochę. Corinnę zastał z panem Pécantin i na widok obcego człowieka zakochany lekarz skrzywił się nieznacznie. Ale Corinna wzięła go za rękę i zaprowadziła do pokoju sypialnego, zostawiwszy pana Pécantin samego.

Znalazłszy się sam na sam z Corinną, młody człowiek chciał upaść na kolana i całować jej ręce.

— Kochany chłopcze — ozwała się piękna grzesznica — nie jestem młodą dziewczynką, ale kobietą poważną. A więc, nie rób głupstw! i słuchaj mnie. Jesteś mi potrzebny.

— O mów! — zawołał z uniesieniem — mów co mam uczynić?

— Odpowiedzieć najprzód na jedno pytanie.

— Słucham.

— Czy opium sprowadza pomięszanie zmysłów?

— Bardzo prędko.

— W siedem lub osiem dni?

— O! nie... chyba w bardzo wielkiej dozie zadawane... I w takim razie, to już nie pomięszanie zmysłów, ale ogłupienie...

— I to można wyleczyć?

— Tak, ale nie w jednym dniu.

— Jak wiele czasu potrzeba?

— To zależy od kompleksji chorego.

— A teraz powiedz mi, czy będziesz mię słuchał ślepo?

— Jak możesz mię o to pytać?! — odrzekł młody człowiek z uniesieniem i wyrzutem.

— Może nawet opuścimy Paryż tej nocy.

— Jestem gotów odjechać!

— Ale... twoi chorzy?

— Och! mam ich tak mało! — dodał śmiejąc się.

— A więc dobrze. Jedźmy!

I zaprowadziła go do salonu, mówiąc do pana Pécantin:

— Sądzę, że możemy jechać.

— Jak pani chcesz — odpowiedział tenże.

Biedny doktor nie mógł się wstrzymać od lekkiego skrzywienia. Sądził, że pojadą we dwoje. Corinna zacisnęła usta, aby się nie rozśmiać.

W dziesięć minut potem jechali wszyscy troje na ulicę Caumartin. Okoliczność jedna rozweseliła trochę doktora Morel. Ponieważ powóz nie miał siedzenia z przodu, p. Pécantin siadł na koźle obok furmana. Zakochany uczeń Eskulapa był więc sam na sam z Corinną w powozie i całował jej ręce.

— A wiesz pan — zapytała — gdzie jedziemy?

— Co mię to obchodzi! Na koniec świata jeśli chcesz!

— Ładnie powiedziane. Ale uspokój się, jedziemy tylko na ulicę Caumartin. — I dodała: — Zaaranżujemy małe porwanie.

Spojrzał na nią trochę zdziwiony.

— Wytłumaczę ci to zaraz w krótkości — odrzekła.

I skomponowała bajkę na prędce.

— Mam przyjaciółkę, która ma kochanka. Pewna cyganka porwała go jej i trzyma u siebie, dając mu opium.

— Wytrzeźwię go bardzo prędko — odrzekł doktor.

— Mam nadzieję; ale pierwej trzeba uwolnić go od niej i na pana w tym względzie również liczę. Może trzeba będzie użyć środków gwałtownych.

— Wywalimy drzwi w potrzebie.

— A! widzę — zaśmiała się Corinna — że nie cofniesz się przed niczem. Ale czy wiesz pan, że narażasz się bardzo.

— Bagatela! — zawołał doktor wesoło — dla miłości twojej poszedłbym chętnie na galery.

Wjechali na ulicę Caumartin. P. Pécantin kazał ratrzymać się stangretowi o kilka kroków przed domem Dolorés.

— Czekajcie tu na mnie — rzekł do Corinny; zadzwonił i zniknął w bramie.

W trzy minuty potem wrócił ze stróżem. Ten ukłonił się Corinnie aż do ziemi, gdy ta wyjrzała z powozu. P. Pécantin powiedział mu wszystko co ma robić i stróż widział, że go nie oszukuje, bo Corinna włożyła mu sto franków w rękę, mówiąc:

— Myślę, że można rachować na was.

— Pani płaci nadto dobrze! — odpowiedział stróż. — Można się narazić dla niej i nawet być odprawionym przez gospodarza.

Corinna wysiadła z powozu, kazała woźnicy stanąć na końcu ulicy Saint-Nicolas, tak aby nie zwrócił uwagi Dolorés, gdy wyjdzie z domu. Potem rzekła do młodego lekarza:

— Chodź pan.

— Do widzenia — rzekł p. Pécantin oddalając się. — Możecie liczyć na moje hasło.

Corinna i doktor poszli za stróżem i brama się za nimi zamknęła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor-Wydawca: W. Maniecki.